ROZMAITOŚCI.

Dnia 22. Października. № 43. Roku 1856.

HETMAŃSKIE LEKI.

Obrazek.

(Dokończenie.)

Na wałach wszczął sie ruch większy i wrzawa. Każdy szedł zająć oznaczone poprzednio miejsce, — opatrywał ostatecznie zbroje i oręż, wytężał wzrok ku nieprzyjacielowi, i o jego potędze z towarzyszami radził. Starszyzna doglądała porządku, upominała o baczność i przytomność, wydawała rozkazy, a pomiędzy wszystkimi odznaczał się zawsze Nikoli, — on był wszędzie pierwszy i ostatni, on wszystkiem rozporządzał, wszystkiego dopatrzył i dopilnował. — Dumna zwykle, i nie łubiąca nikomu, zwłaszcza cudzoziemcowi, dawać prymu przed sobą szlachta, nie miała nic przeciw Nikolemu, chętnie się pod jego zwierzchni zarząd skłaniając. Tak umiał postępowaniem swojem łaskę i przychylność wszystkich sobie zaskarbić, a szczerem miłowaniem nowej swojej ojczyzny, dzielnem męstwem, i wysoką sztuki wojennej umiejętnością szacunek powszechny zjednać. — Właśnie w tej chwili zajmował on się z szczególną troskliwością obsadzaniem miejsc najmniej ubezpieczonych, których położenie i krótkość czasu wzmocnić należycie nie pozwoliły, i wskazywaniem środków ich obrony.

Wśród powszechnego zajęcia i krzątania, nikt nie uważał, jak ze zamku wysunął się mały orszak jezdnych, i zwolna zmierzał prosto ku miejscu, z którego Nikoli, otoczony kilkoma ze starszyzny, kierował ostatniemi przygotowaniami. Dopiero gdy już jeźdzcy byli blizko, tętent i parskanie koni zwróciły niektórych uwagę: — „Hetman! hetman jedzie!“ zawołało kilka głosów.

„Co? kto? hetman?“ — zapytali drudzy — a Nikoli obejrzał się z niedowierzaniem. Jednakże tak było rzeczywiście.

Hetman to, sam w swojej osobie, w lekkiej ale pełnej zbroi, jechał na białym koniu w towarzystwie Bieleckiego i kilku jeszcze dworzan i szlachty przedniejszej. Twarz jego była jeszcze bardzo blada, i nosiła na sobie widoczne ślady niezmożonej jeszcze całkiem choroby, ale trzymał się na koniu prosto i krzepko, a wzrok jego świecił trzeźwym i pewnym blaskiem.

Widok hetmana był wielką dla obrońców miasta niespodzianką, i nie lada dodawał otuchy. Jakkolwiek bowiem wiadomość o polepszeniu hetmańskiego zdrowia, z ust Nikolego zasłyszana, piorunem się była rozeszła, — jednakże po tak ciężkiej chorobie nikt nie myślał, sam Nikoli nawet nie przypuszczał, żeby hetman aż konia dosiąść zechciał i potrafił, i osobiście śród wojowników mógł się ukazać.

To też kiedy się zbliżył, niezmyślona, serdeczna radość objawiła się w głośnem, przeciągłem: „Vivat!“— „Niech żyje!“, które z ust do ust, wraz z okrzykiem: „Hetman jedzie!“ podawane, w jednej chwili obiegło miasto dokoła, — a wróciwszy do miejsca z którego wyszło, rozchodziło się znów dalej, i wielkim hałasem napełniając powietrze, w najrozmaitszych kierunkach, intonacyach i zmianach powtarzało sie bez końca.

Hetman ręką, wzrokiem i słowem dziękował dokoła za te oznaki przychylności, i coraz, to gładził piękną, siwą jak gołąb brodę, na które długie czarne spadały wąsy. A kiedy się już nieco uciszyło, z pośrodka jednej kupki, wysunął się dobrze już szpakowaty szlachcic, przybliżył się do hetmana, a skłoniwszy mu się czapką w kolana, pomusknął sitarskiego wąsa, i w ten sens sie odezwał:

— „Miłościwy Hetmanie! Bóg widzi jaka radość przejmuje serca nasze, że polepszenie drogiego zdrowia Waszej Miłości widzimy na oko; — on także niech nam będzie świadkiem, jak bylibyśmy szczęśliwi, gdybyśmy w niniejszej potrzebie pod waszem okiem i osobistem przywództwem walczyć mogli. Ale nie jesteśmy tak samolubni, abyśmy dla własnego ukontentowania i pociechy, drogą osobę Waszmości wystawiać mieli na szwank, którym jej tak rychłe a zbyteczne forsowanie sił po tak ciężkiej chorobie nieochybnie

grozi. — Otoż ja, pokorny sługa Waszej Miłości, w imieniu braci mojej z tem do Was przychodzę, aby Was uprosić i ubłagać, iżbyście bezpieczeństwo miasta i swej przezacnej osoby, którego my do ostatniej krwi bronić będziem, na nas zdawszy, sami wróciwszy do zamku, w wygodzie a spoczynku ten czas przetrwali, nie narażając się, nie mówię już na pociski śmierci, bo ta każdemu od Boga przeznaczona, ale na trud i niewygodę, któreby Was z łatwością na łoże niemocy, z któregoście się ledwie podźwigli, napowrót powalić mogły."

Hetman z widoczną niecierpliwością słuchał mówiącego, a kiedy ten skończył, rzekł:

— „Wdzięczen mocno Waszmościom, za ten nowy dowód życzliwości Waszej; — ale na miłość Boską proszę Was, dajcie mi już pokój z temi perswazyami, bo mi już kością w gardle stoją. Dopiero co przebyłem dwie wojny o to, z doktorem i z żoną, aliści tu widzę trafiam na trzecią. Wierzcie mi, że mnie to mocniej irrytuje i więcej szkodzi, niż żebym trzy dni i trzy nocy z konia nie zsiadał. Wreszcie, nie jestem ci już podobno dziecko, żebym nie wiedział co robię, i żeby mię na pasku wodzić trzeba było!..."

— „Wolna wola Waszmości! — odparł szlachcic kłaniając się znowu, ale już nie tak pokornie, i prostując się potem dumnie — toż my nie chcieliśmy gniewać Jaśnie Wielmożnego Hetmana, aniśmy myśleli, żeby prośba nasza którą nam serce podyktowało, za obrazę przyjętą być miała!"

— „Ale któż tu mówi o jakiej obrazie! — zawołał reflektując się hetman, — a niechże mię Bóg broni, żebym się miał za to na Waszmościów obrażać, bobym śmiertelny grzech ciężkiej niewdzięczności popełnił!... Tylko, wiecie o tem dobrze, że u mnie krew nie woda; choć jej niemało Sinior Petruci w czasie tej przeklętej choroby z ciała wypuścił, jednak dosyć jej jeszcze zostało. A mówię Wam, że mię tam już djabelnie zniecierpliwili na zamku. — Jeżeli mi się więc w prędkości jakie cierpkie słowo wyrwało, to niebierzcie tego do serca panowie bracia, — darujcie staremu, i kochajcie mię wszyscy, jak ja wszystkich Was kocham!"

I podał rękę staremu, który udobruchany już, ze łzami w oczach ją ucałował, a przytomna szlachta wyrzuciwszy czapki w górę, wrzasnęła znów ogromnym chórem: „Vivat! Niech żyje Jaśnie Wielmożny Hetman!"

Hetman skłonił się szlachcie z uśmiechem wdzięcznym na twarzy, — spiął konia i wśród nieustających okrzyków, które trop w trop posuwały się za nim, pojechał dalej oglądać i lustrować szaniec do koła.

Tymczasem Tatarzy zbliżyli się już byli znacznie. Pierwszy oddział, niby awangarda przodem idący, podsunął się już był może na dwa strzały armatnie, a za nim nieopodal reszta czerniawy, ogromną, bezładną waliła się kupą. Przodowy hufiec z Murzą na czele, którego zdala po wysokim czerwonym kołpaku rozpoznać było można, zrazu szparko biegł ku miastu, ale potem naraz zwolnił kroku, a nareszcie przystanął. Było-to właśnie wtenczas, kiedy szlachta zbliżającego się hetmana głośnemi witała okrzyki. Hałas ten zwrócił widać uwagę Tatarów, i poczęli nadsłuchywać. Atoli gdy niebawem okrzyki przycichły, oddział ruszył dalej z kopyta. Wtem z głównego korpusu, który się był także zatrzymał na chwilę, pomknął jakiś jeździec, i przypadłszy przed Murzę wiodącego straż przednią, coś mu w ucho zakrzyknął. Murza zatrzymał konia, spiął się na strzemionach, zabełkotał coś ogromnym głosem, i machnął w powietrzu potężnym biczem, który miał zatknięty za pasem, — a cała czereda, jak chart targnięty na smyczy, nagle stropiła się, i stanęła w miejscu jak wryta. Wkrótce cała horda połączyła się w jednę, bez końca ciągnącą się chmurę, która rozlawszy się szeroko po okolicznych polach, zwijając się i kłębując w różnych kierunkach, nic się jednak nie posuwała naprzód. Zrazu widać w niej było jakiś szczególny ruch ku środkowi. Jacyś jeźdźcy, z różnych stron, w całym pędzie konia, przerzynając i roztrącając tłumy, zbiegali się do jednego punktu, na którym zdala widne powiewały hańskie buńczuki. Szlachta na wałach, co to już nie jednę z Tatarami przebyła praktykę, twierdziła, że to starszyzna tatarska zbiera się w około Hana na wojenną naradę.

Tegosamego zdania był i hetman, który stojąc na przedzie owego hufcu ustawionego pod gumnami, a złożonego z dwustu koni nadwornej dragonii pod wodzą kapitana Odrzykowskiego i blisko drugie tyle szlachty, uszykowanej w przyzwoitym ordynku, z uwagą śledził poruszenia nieprzyjaciela. Dokoła niego, po hałaśliwych okrzykach uroczysta zaległa cisza; bo niespokojność i oczekiwanie, wszystkie władze duszy skupiwszy w oku, pozamykały szlachcie gęby, i spętały języki. Cicho tedy było; — tylko czasami tu i owdzie koń wędzidłem zadzwonił, albo niecierpliwszy od człowieka chciał wysunąć się naprzód

z szeregu, a targnięty cuglami i skarcony ostrogą, przysiadał na zadzie, i zabierał się do skoku, ale silną ściągnięty ręką wracał wreszcie do porządku, i tylko wyciągając szyję i szczerząc zęby a parskając, niecierpliwość i nieukontentowanie swoje objawiał.— Wtem jakiś ruch i wrzawa powstały od zachodniej strony miasta, i niebawem, przeprowadzany przez Nikolego ukazał się towarzysz pancerny, potem i pyłem okryty, wiodący za sobą zmachanego i gęsto bokami robiącego konia. Obaczywszy hetmana prosto poszedł ku niemu, a oddawszy mu pokłon żołnierski, dobył z zanadrza jakiś papier, i do rąk jego własnych go złożył. — Hetman bystro spojrzał na przybyłego, i nie rzekłszy słowa, przełamał pieczęć; — ale kiedy zaczął szybko przebiegać pismo oczyma, rozjaśniła się twarz jego, i oko jasnym zaświeciło blaskiem.

— A bądźże nam pozdrowion dobrej wieści pośle! — zawołał do towarzysza podając mu prawicę, — a potem zwracając się do orężnej szlachty, rzekł wesoło:

— Panowie bracia! Imci pan Lipnicki, którego oto Waszmościom prezentuję, i braterskiemu ich affektowi polecam, przywiozł mi pismo, od Imci panów Adama Kalinowskiego starosty bracławskiego i Imci pana Jarosza Tyszkiewicza, który zasłyszawszy o mojej tutejszej opressyi, *generoso impetu* obywatelskiego i przyjacielskiego serca, w tysiąc kilkaset koni ussaryi i kozaków, przybywają mi na pomoc, a zastanowiwszy się dla wytchnięcia koniom ztąd o milkę małą, ślą przodem Imci pana Lipnickiego z oświadczeniem swego affektu, i zapytaniem, jak sobie dalej ku mojej wygodzie postąpić mają. — A zatem, mamy Panu Bogu i gotowości tych zacnych synów Rzeczypospolitej do podziękowania, że przystojniej naszych nieproszonych gości przyjąć będziemy mogli!

— Vivat pan Kalinowski! Vivat pan Tyszkiewicz! wrzasnęła szlachta, i otoczywszy przybyłego, jęła witać i rozpytywać, a hetman przyzwawszy ku sobie Nikolego, Odrzykowskiego, i kilku znaczniejszej i starszej szlachty, chciał z nimi krótką złożyć naradę, gdy wtem inny niespodziany widok, gdzieindziej zwrócił wszystkich uwagę.

Z pośrodka ćmy Tatarów pomknął jakiś jeździec, i w całym pędzie konia zmierzał prosto ku miastu, — a kiedy się już na strzał przybliżył, począł wywijać w górze czemś białem, jak się zdało papierem, na długiej zatkniętym spisie. Domyślono się zaraz, iż to był poseł z żądaniem jakichś układów; szlachta więc spokojnie, oparłszy się na muszkietach i półhakach, z ciekawością oczekiwała jego przybycia. — Goniec przypadłszy pod sam okop, osadził konia, spiął się na strzemionach i pochyliwszy się naprzód, na końcu spisy podał papier, który najbliższy szlachcic z wału przegiąwszy się odebrał, i nie bawiąc poniósł hetmanowi. Tymczasem Tatar, nie ruszając się z miejsca ani schodząc z konia, wbił drugi koniec spisy w ziemię, a sparłszy się na niej niedbale, i skośnemi oczkami ciekawie wodząc po szańcu, czekał na odpowiedź. — Hetman odebrawszy pismo, obejrzał je tylko po wierzchu, i oddał stojącemu dworzaninowi Bieleckiemu, mówiąc: — „Zobacz Waść co takiego?“

Był-to list w imieniu i z rozkazu Hana pisany po polsku, widać przez jeńca Polaka, — w którym Han przyrzekał hetmanowi, iż przejdzie spokojnie i bez zaczepki wedle miasta, byleby hetman przyrzekł nawzajem, iż ze swej strony strzelać na niego nie będzie.

Hetman wysłuchawszy czytania, po krótkim namyśle rzekł, zwracając się do Bieleckiego:

— Idź Waszmość na zamek, i odpisz w krótkich słowach Hanowi, że propozycye jego przyjmuję, — a za dotrzymanie ugody ze swej strony słowem szlacheckiem ręczę. Do podpisu zaraz tam za Waścią pospieszę. — A poproś Waszmość ze sobą i Imci pana Lipnickiego, i postaraj się żeby tam miał czem po swej podróży posilić się i do nowej pokrzepić.

A kiedy towarzysz i dworzanin zawracali się ku zamkowi, zawołał jeszcze hetman za nimi: — Mości Lipnicki! — koń Waszmości widzę djablo zhasany, — zostaw go u nas, niech sobie do twego powrotu wypocznie, a sobie wybierz z mojej stajni innego, — i niech ci tak dobrze służy, jakieś się ty mnie dzisiaj radosnem twojem przysłużył poselstwem.

Uradowany niespodzianym darem towarzysz, wrócił się nazad, i dopiero uścisnąwszy kolano hetmana, pospieszył za Bieleckim na zamek, a zwolna za nim pociągnął i hetman ze swojem otoczeniem, poleciwszy jeszcze wprzód Nikolemu, baczność i gotowość na wszelki przypadek, nie dowierzając widać całkiem pokojowym usposobieniom Tatara.

W ćwierć godziny odpowiedź była gotowa, i czekający Tatar pogonił z nią napowrót, a hetman udał się na zamkową basztę, gdzie znajdowała się żona jego z fraucymerem i co znaczniejszemi szlachciankami, i zkąd rozwijał się daleki widok na okolicę. — Usłyszawszy radosną dla siebie nowinę, kobiety upadły na kolana, dziękując za nią Panu Bogu, a pomo-

dliwszy się, poczęły się hurmem cisnąć do okien, od których je dotąd strach w oddaleniu trzymał.

Cały kosz tatarski, szeroko rozbity, widać ztamtąd było jak na dłoni. Właśnie przypadł był doń ów goniec z powrotem, i utonął w tem morzu ruchliwem, a niby pływak porąc jego fale, zdążał ku smokowi, do miejsca kędy sam Han przebywał. Nareszcie dotarł do niego. Widać przychylna odpowiedź bardzo była po myśli niewiernym, — znać dobrze obłowieni, na najmniejszy hazard wystawiać swą zdobycz nie mieli ochoty, bo wydawszy okrzyk radosny, niebawem poczeli się zabierać do pochodu, i niby szeroki, błotnisty potok zaczęli płynąć nieopodal od miasta.

Okna na baszcie tłumniej się napełniły, a mur zamkowy i wał miejski okrył się różnobarwną ludnością wszelkiej płci i wieku. A potok brudnych kożuchów baranich i kosmatych czapek, wśród którego, niby wśród fali szarego zboża maki czerwone, kraśniały tu i owdzie jaskrawe Murzów kołpaki, przepływał zwolna przed oczyma ciekawych. — Tylko Han ze swoim orszakiem, pstrą mieszaniną jaskrawych kolorów przerywał nieco jednostajność tej powodzi, i głównie zwracał uwagę na siebie. Atoli wkrótce widowisko inny, bolesny przybrało charakter, bo tuż prawie za Hanem rozpoczął się pochód jeńców w jasyr zabranych. — Mężczyźni prawie jeden w drugiego własną krwią zbroczeni, kobiety wszelkiego stanu i wieku, i różnej miary niedorostki, — bo małe dzieci Tatarzy wieźli na koniach przed sobą, — wszyscy odarci, napół nadzy i bosi, z rękami skrępowanemi w tyle, biegli, szli i wlekli się, pędzeni stadami jak bydło, razami tatarskich biczów do pospiechu nagleni, — lub tez po kilkoro przy jednym końcu prowadzeni na smyczach. Jęki bólu, wrzaski rozpaczy, wzywanie boskiego i ludzkiego ratunku, wreszcie przekleństwa zmieszane z niezrozumiałemi, ale strasznemi groźbami Tatarów, napełniały powietrze okropnym i rozdzierającym odgłosem. Nie dziw więc że też od strony miasta, wielkim płaczem i serdecznym lamentem zawodząc w niebogłosy, odpowiedziały mu kobiety. Szlachta milczała, i tylko zacisnąwszy zęby, a burcząc przez nie klątwy jakieś szkaradne, za broń pochwyciła. Trzeba było całej przytomności i energii przywodźców i starszyzny, aby ją od stargania zawartej umowy powstrzymać. Sam hetman powtórnie zjechał ze zamku, i przypomnieniem danego słowa, oraz obietnicą rychłej pomsty, ledwie ją uspokoić potrafił. Kobietom jednak trudniej jeszcze było wyperswadować; to też łkania i szlochy długo jeszcze rozlegały się po miasteczku.

Jeszcze Tatarzyn, długim wlokąc się ogonem, niebył zupełnie przeciągnął, kiedy już Imci pan Lipnicki, na świeżym ze stajni hetmańskiej koniu, pogonił z poleceniami hetmana do Imci panów Kalinowskiego i Tyszkiewicza, — a na godzinę przed zupełnym zmrokiem, Bar powitał w pośród swych wałów upragnione hufce kozaków i pancernych.

° ° °

W wielkiej sali barskiego zamku, wizerunkami Koniecpolskich zawieszonej dokoła, hetman, pan Kalinowski, pan Tyszkiewicz, Nikoli, Odrzykowski, kilku oficerów przybyłych chorągwi i nieco starszej szlachty zebrali się na wojenną naradę. Narada ta niedługo trwała. Wszyscy jednogłośnie zgodzili się na to, aby do wojsk regularnych dobrawszy co się da szlachty, a małą tylko załogę zostawiwszy w Barze, nie bawiąc ruszyć w ślad za Tatarami, którzy zwolna i bezpiecznie się posuwali, i zanim zdołają nocnym rozłożyć się obozem, zanim potrafią z rozwleczonego pochodu przyjść do jakiegokolwiek ładu, uderzyć na nich z impetem i hałasem. Resztę poruczono Bogu i dzielności polskiego ramienia.

Zaledwie tedy księżyc połowę świetlanej swej tarczy wychylił zza krańców widnokręgu, gdy zbrojny hufiec wojowników, wynoszący do trzech tysięcy męża, przeprowadzany łzami, modlitwą i błogosławieństwy pozostających, cicho wyruszył z Baru. Na czele jego jechał hetman. Daremne były przedłożenia i prośby panów Kalinowskiego i Tyszkiewicza, aby na nich zdał dowództwo tej wyprawy, a sam pozostał w domu, — daremne opozycye doktora, twierdzącego iż takie nadużycie sił, zwątlonych chorobą, wielkiem groziło niebezpieczeństwem, — daremne błagania i płacz żony, a nawet perswazye ojca Fulgentego. — Hetman uparł się przy swojem, a wreszcie zniecierpliwiony sprzeciwianiem się swej woli, tak się rozgniewał, iż począł się coraz mocniej jąkać i zacinać w mowie. Zły to był znak; wszyscy zatem lękając się dla jego zdrowia skutków jego gwałtowności bardziej niż wszystkiego innego, ustąpili i zamilkli.

Wyszedłszy z miasta, małe to wojsko, prosto tatarskim szlakiem wyciągniętego puściło się kłusa, i niebawem skryło się w pobliskich

lasach. — Po godzinie szybkiej jazdy, hetman kazał zwolnić biegu, by dać wytchnąć nieco koniom, i podjazd wysłał na zwiady. Zrobiono nawet chwilowy przystanek. Cicho było dokoła. Tylko poważny, wiekowy bór, szumiał uroczystą, tajemniczą pieśń nocy; — tylko drzemiący gdzieś na odwiecznej sośnie jastrząb lub orlik, zbudzony tętentem koni, zatrzepotał skrzydłami, i rozespany, nieprzytomnie tłukł się po gałęziach. Na wschodniej stronie nieba, w ćwierćmilowej może odległości, naraz zaświtała bladoróżowa jasność, która przechodząc w coraz to mocniejsze tony, nareszcie krwawą roziała się łoną, — a niebawem też i ogromne kłęby dymu i ogniste języki olbrzymich płomieni ukazały się po nad lasem. — „Tatarska to sprawka!“ mruknął jaki taki z cicha i splunął, — i wszystkich oczy skierowały się w tę stronę. Wtem płomienie owe dziwnie jakoś plątać poczęły się ze sobą; — dymy buchnęły gęstsze, — a kiedy opadły, cudowne zjawisko ukazało się wojownikom. Z owej łony i płomieni utworzył się na niebie olbrzymi, ognisty krzyż, wieńcem z dymów, niby wieńcem obłoków otoczony do koła. Na ten widok strach święty przejął serca wszystkich. Pierwszy hetman, a za nim całe rycerstwo zeszło z koni, i upadłszy na kolana, każdy z gorącości ducha odmówił: „Pod Twoję obronę...“ — Po tej serdecznej modlitwie, dziwna otucha wstąpiła w wojowników. — Hetman zakomenderował: „Na koń!“, i po chwili całe wojsko wyruszyło znów w kierunku, przez cudowny ów krzyż wskazanym. Dopiero kiedy wyjechali z lasu na czyste pole, i ujrzeli przed sobą wioskę płonącą, a po za nią migające postacie Tatarów, zjawisko to rozpłynęło się w powietrzu, i znikło. Hetman zaleciwszy jeszcze raz cichość największą, rozporządził siły swoje w ten sposób, iż sam zatrzymał dowództwo środka, składającego się z zastępu jazdy pancernej, — prawem skrzydłem złożonem z dragonii i szlachty dowodził starosta bracławski, — a na lewem p. Tyszkiewicz wiódł swoich kozaków. Pożar wioski pozwolił naszym pod swoją zasłoną nader blisko podstąpić pod nieprzyjaciela. Tatarzy, widać zwolna się wlokąc, i zabawiając się jeszcze po drodze łupieżą opustoszałych wiosek, dopiero co byli na nocleg stanęli, i przyświecając sobie pożarem, poczęli myśleć o rozłożeniu obozu. Największy więc nieład i plątanina panowała między nimi, — a tak ufali w swoje bezpieczeństwo, że najmniejszych nie przedsięwzięli środków ostrożności. Gdy więc nasi, zbliżywszy się ledwie na kilka skoków konia, z nienacka z ogromnym okrzykiem: „Jezus, Marya, Józef!“, i ze straszliwym uderzyli na nich impetem, powstał między nimi od razu wrzask, przestrach i tumult nie do opisania. — Napadnięci niespodzianie, nie przygotowani do odporu, nie wiedząc z kim i z jaką siłą mają do czynienia, poczęli w największym pierzchać popłochu, a Han jeden z pierwszych odbieżawszy wszystkiego, ratował się ucieczką. Tak więc bitwa zaledwie rozpoczęta, najzupełniej była wygrana: a była to właściwie mówiąc, nie bitwa, ale rzeź krwawa. Okropność jej powiększyli jeszcze jeńcy, którzy przez swoich z łyków uwolnieni, z wściekłością chwycili za broń przez Tatarów porzuconą, i straszną pomstę między katów swoich ponieśli. Więcej niż połowa dziczy na miejscu padła — resztę p. Tyszkiewicz, który ze swemi kozaki poszedł w pogoń za uciekającymi, nagnawszy gdzieś nad rzekę wytopił, a ostatki jeszcze przez kilka dni potem chłopi po lasach bili. Tak więc oprócz Hana, mało któren z wieścią o porażce do domu powrócił.

Trzy chorągwie, cały namiot Hana ze wszystkiemi przyborami, i mnóstwo innej zdobyczy, były owocem tego zwycięztwa. Prócz tego plon wszystek, a osobliwie mnogość ubogich ludzi płci obojej, których niezliczona rzecz na wieczną niewolę prowadzona była, poganinowi jako okrutnemu lwu z paszczeki wydarta i do wolności wrócona została, tak, że nikt u nich w niewoli nie został, krom tych których oni uciekając ścinali i psowali. Samych małych dzieci, niewiniątek i niemowlątek odbieżanych, które tylko z płaczem krzyczały, wielkie mnóstwo było na miejscu pogromu. Sprzętami zaś domowemi, nie tylko ludzi ubogich, ale i szlacheckiemi, a nawet aparatami kościelnemi, cokolwiek jeno na koniu unieść mógł nieprzyjaciel, zasłany był szlak wszystek.

Gdy się tedy nieco uspokoiło, i jaki taki ład na pobojowisku zrobiono, dopieroż się poczęły więźniów naszych, szlachcianek i panienek szlacheckich procesye, i tłumy bardzo wielkie, różnej kondycyi i wieku ludzi, aż tam gdzieś około Krosna i Przemyśla pobranych. I wielki to był żal z pociechą zmieszany, gdy ci ludzie, jakoby znowu na świat porodzeni, z prostoty swojej krzyżem przed zbawcami swymi padając, błogosławieństwo im różne dawali.

Wreszcie godzin ze dwie odpocząwszy, i wkrótce potem zorzę obaczywszy, — co się

dało ze zdobyczy, na wozy i na konie tatarskie zabrawszy, ruszyło z powrotem wojsko tem bardziej radosne, że prócz kilku rannych, z naszych nikt prawie nie zginał.

* * *

Dobrze już było z południa, kiedy hetman, otoczony starszyzną, stał jeszcze na dziedzińcu zamkowym, i wydawał rozkazy. Rozporządzał zdobyczą, — wysyłał na pobojowisko wozy dla pozbierania owego mnóstwa dzieciątek, — dla nieszczęśliwych jeńców z rąk Tatara wydartych, oznaczał miejsca tymczasowego przytułku i sposoby opatrzenia. — Blady był bardzo, — a po twarzy, na którą miejscami siwawe rzuciły się odcienie, i po całem jego ciele od czasu do czasu wyraźne przebiegały dreszcze. Widocznie paroxyzm febryczny, przyspieszony niezwykłym trudem, wzruszeniami i wysiłkiem, zbliżał się wcześniej niż zwyczajnie. Mimo tego, i mimo nalegań obecnych, a zwłaszcza Petrucego, który stojąc obok hetmana oka z niego nie spuszczał, hetman nie chciał się jeszcze udać na spoczynek.

Cała służba dworska, hajducy i kozacy, na dwie ogromne kupy znosili plony nocnego zwycieztwa; na jednę, zdobycz poganinowi odbitą, — na drugą to, co właściwie łupy na Tatarach zdobyte stanowiło. Były-to przedmioty najrozmaitszego użytku i wartości, a między niemi kosztownością celowały te, co do zbiegłego należały Hana.

Właśnie hajduk Bazyli przyniósł był sporą, hebanową, misternie rzeźbioną i bogato w srebro kutą szkatułkę, która widocznie musiała być hańską własnością, — gdy hetman ujrzawszy ją zapytał:

— A co to masz Bazyli?

— Skrzynię jakąś Jaśnie Wielmożny panie.

— Widzę — ale co w niej? — zawołał, niecierpliwiac się naiwnością hajduka hetman.

Bazyli chwycił za piękną zwierzchnią antabę, oderwał wieko, a zajrzawszy wewnątrz, skrzywił się i splunął:

— Tfu! Panie odpuść: jabłka ano jakieś i nic więcej!

— To granaty! rzekł ktoś z pomiędzy szlachty.

— Granaty! *poma granata!* zawołał hetman ucieszony. — Dawaj no je tutaj prędzej! A to delicye!

— Spodziewam się że Wasza Excellencya, nie zechcesz ich przecież w obecnym swoim stanie używać; — rzekł przysuwając się Petruci.

— I owszem, i owszem — tak dawno mam już do nich pragnienie... To prawdziwa dla mnie niespodzianka!

— To niepodobna! ja na to nie pozwolę! wołał Włoch prawie w rozpaczy.

— Co się Waści stało? Czyś Waść odurzał? Bazyli! dawaj sam szkatułkę!

Petruci uklakł, złożył ręce jak do modlitwy, i z płaczem prawie zawołał: — Na miłość Boską, zaklinam Waszą Excellencyą!.....

Bazyli nie wiedząc co począć, nie ruszał się z miejsca, i z otwartą gębą nad otwartą stał szkatułą.

— D..d..dawaj sam, kiedy mówię! — krzyknął hetman zacinając się okropnie, i krwią nabiegł cały.

Włoch odskoczył na bok, i tylko, jakby wzywając pomocy, obłąkanym wodził dokoła wzrokiem, a hetman podane sobie granaty, z chciwością, z łakomstwem niemal poczał jeść jeden po drugim. Wreszcie nasyciwszy swoje pragnienie, wydawszy kilka jeszcze rozporządzeń, a reszte staraniu Nikolego oddawszy, udał się na spoczynek, i niebawem zasnął snem głebokim.

Petruci lękając się co chwila strasznego wybuchu choroby, na palcach wsnnął się do hetmańskiej komnaty, i pilnował śpiącego bez przerwy. Ale daremne były jego obawy. Hetman spał twardo, ale spokojnie. Wieczorem tylko obudził się na chwilę, i pić zażądawszy, zasnął znów na noc całą tak samo.

Nazajutrz wstał zdrów, wesół i uśmiechnięty; — żartował z wczorajszego przestrachu doktora, — a na solennem nabożeństwie, które się dnia tego w kościele OO. Karmelitów odbyło, za podwójne zwycięztwo: nad Pohańcem, i nad chorobą, Panu Bogu dziękował.

Jeden tylko Petruci długo nie wierzył, żeby ten nagły i niewytłumaczony dla niego powrót do zdrowia, miał być stateczny. Ale czas przekonał go nareszcie, iż tak było rzeczywiście. Hetman potem, wiele razy był w dobrym humorze, prześladował go, spierając się z nim o pierwszeństwo w sztuce lekarskiej, — a wszystkim, już to żartem, już na doprawdy, jako niezawodny medykament na wszelakie choroby radził *poma granata*.... notabene: *na Tatarach zdobyte.*

* * *

Mięso końskie. Mówiąc o tym często zachwalanym teraz przysmaku, nie mamy intencyi zalecać go czytelnikom. Chcemy jedynie zwrócić uwagę na osobliwszą zmianę czasów i wyobrażeń w tym względzie. Dziś zachwalanie koniny należy w niektórych

okolicach do zasług filantropii. Powstają tam osobne jatki mięsa końskiego; mnożą się pisma na cześć tej „zdrowej i smacznej“ żywności; sprzedawcy i spożywacze odnoszą dank publiczny. Przed kilką zaś wiekami, w pierwszych czasach chrześcijaństwa w północnej Europie, pracowano jeszcze usilniej nad odzwyczajeniem ludzi od używania koniny, jako strawy nieczystej i z obyczajnością niezgodnej. Mięso końskie było ulubionem jadłem wszystkich ludów pogańskich nad Bałtykiem. Wraz z koniem, służącym powszechnie za przedmiot czci bałwochwalczej— wraz z mlekiem od klaczy, poczytywanem za najszlachetniejszy z napojów — używano go do różnych ofiar, guseł i uczt pogańskich. Owszem prawo raczenia się mięsem i mlekiem szkapiem uchodziło za chlubną odznakę wyższości w społeczeństwie. I tak jeden z spółczesnych podróżników po wybrzeżach bałtyckich opowiada Alfredowi W. o pogańskiej Estonii: „Król i magnaci tameczni piją mleko kobyle, a ubożsi i niewolnicy miód.“ W Szwecyi i Norwegii pogańskiej, podzielonej w mnóstwo drobnych państw obieralnych, zdarzał się co chwila jakiś wybór królewski, odbywało się jakieś zgromadzenie narodu, a głównym aktem każdej uroczystości podobnej było ofierne zakłucie i publiczne spożycie konia. Islandczykowie nie chcieli skłonić się pierwej do przyjęcia religii chrześcijańskiej, aż póki im nie zapewniono tymczasowej wolności jadła ulubionego. To też do poźnych czasów nie mają kroniki chrześcijańskie nic zdrożniejszego do zarzucenia ochrzczonym już narodom skandynawskim, jak że jawnie i skrycie zajadają szkapinę. Długiem przecież napominaniem obrzydzono Chrześcijanom strawę szlachetną, a dziś potrzeba owszem zachęcać do niej. Przypomina się tu wreście staropolski zwyczaj przy wyborze lub mianowaniu hetmana. U stołu zastawionej natenczas uczty trzymała pierwsze miejsce upieczona głowa żrebięcia. Ktoż wie, o ile ten zwyczaj starożytny, zapewne jeszcze z czasów pogańskich pochodzący, wiąże się z wspomnionemi tu ofiarami i bankietami końskiemi?

Która godzina? Egipcyanie nauczyli Greków pytać się *która godzina?* Od kogo nauczyli się Egipcyanie, odpowiedź na to ginie w nocy przeszłości. Pliniusz utrzymuje że pierwszym znawcą czasu był Anaxymander. W kilka wieków kwadrans jego przeniesiono do Sycylii, a Waleriusz Messala sprowadził go do Rzymu. Za konsulostwa Scypiona Nasyki w miejsce kwadransów wynaleziono zegary hydrauliczne. Ileż-to trzeba było pokonać trudności, aby wiedzieć która godzina. Kalif Harun al Raszid posłał Karolowi W. zegar, jakiego ten monarcha w żadnem mieście państwa swego dotąd nie posiadał. Pod ów czas w nocy oznajmiali stróże wołaniem upłynioną godzinę, teraz ma każdy swój zegarek, a pyta się przecież *która godzina?* Pytający się o obecną godzinę mniej jest nią zajęty, niżeli następującą. To zbliżenie dwóch rozmaitych czasów rodzi w wyobraźni trzeci. Przypominając sobie to, co się ma robić, daje się sad o tem, co się zrobiło. Pytanie *która godzina?* jest zasadą rozważania, nadającą działalność myśli, ruch życiu i kierunek przedsięwzięciom. Wieleż to ludzi nie wiedzą co myślą, co robią, co zamierzali, jedynie dlatego że nie pytali się dość często która godzina? Ten któryby wyrazy te na drzwiach swojego pomieszkania napisał, pewnieby żadnej chwili naprożno nie strawił, bo aby czas dobrze oceniać, mierzyć go potrzeba. Ojcowie, matki, nauczyciele, otoczeni dziećmi lub wychowańcami. nie powinni zapominać o ważności tego pytania. Każda chwila rodzi nowe wyobrażenia w umyśle młodocianym. Osiągną cel do którego dążą, jeśli się pytać będą która godzina? Odmiany, jakich doznajemy, dają się łatwo poznawać w początkach życia naszego, ciąg ich nigdy nie jest przerwanym; one zapełniają przedział między dzieciństwem, wiekiem dojrzałym i zgrzybiałością. Każda godzina oznaczona jest przez czas, który stwarza, doskonali i niszczy wszystko. Pod tym względem pytanie czem jestem, czem byłem, czem będę zawiera się w pytaniu która godzina. Gdy wypełnim jaki czyn szlachetny, a spojrzymy na zegarek, godzina ta stanie się słodką nauką przyszłości, a słodszem jeszcze przeszłości wspomnieniem. Szczęśliwy kto może podobnie postępować co chwila. Godziny jego składałyby radosne minuty, i mógłby się sam siebie często zapytać: *która godzina?*

Paryska scena sądowa. Jeśli młody, jedynastoletni Henryk Berthier poprowadzi i na dal tak burzliwe jak dotąd życie, tedy przyszły jego biograf będzie miał niepospolite zadanie. Ten wieczny Żyd w miniaturze pochwycił już w szóstym roku życia za kij wędrowny, i wymknąwszy się chyłkiem z domu rodzinnego, drapnął do ciotki, mieszkającej o mil pietnaście. Aby tu wytłumaczyć swoje niespodziewane przybycie, opowiada zdziwionej i przerażonej ciotce bez najmniejszego zająknienia się, iż w jednym dniu stracił oboje rodziców. Gwałtowny bowiem pożar wybuchł w ich domu, i pochłonął ojca i matkę, wraz z wszelkiemi ruchomościami. Wieść ta uderza gromem w poczciwą kobietę, przywiązaną szczerze do rodziny. Przywdziewa nieboga natychmiast żałobę pu nieboszczce siostrze, ubiera w czarne suknie samegoż Henryka Berthier, i nie dowiadując się już o dalsze szczegóły śmierci siostry i szwagra, przyjmuje go za własne dziecię. Młody Henryk prowadzi na swej nowej siedzibie bardzo wesołe życie. Przez całe lato i całą jesień używa zupełnej wolności. Dopiero pod zimę wspomniała ciotka o szkole, a już w 14 dni potem znikł Henryś bez wieści. Powrócił on do Paryża, i zapukał do drzwi domu rodzicielskiego. „Nieszczęśliwy zkądżeto przybywasz“ — zawołała matka ze łzami radości w oczach. — „Myślałam że już oddawna nie żyjesz.“ — „O nie matko, ja powracam od ciotki Katarzyny“. — „Od ciotki Katarzyny?! A czemuż ona mi nie napisała, że jesteś u niej? czemu cię sama nie przywiozła?“ — „Nie mogła, mamo, bo już nie żyje.“ — „Przebóg! moja siostra Katarzyna nie żyje! a jejże mąż, jej dzieci?“— „Nie żyją także. Pożar wybuchł nagle w ich domu, i wszyscy razem zginęli w płomieniach bez ratunku.“ — „A jakżeś ty ocalał? Przecież byłeś pomiędzy nimi?“ — „Nie, ja byłem na stancyi u professora. Teraz zaś, gdy wszyscy już nie żyją, wypędził mię nauczyciel, i musiałem wrócić do ciebie.“ Dzięki tym kłamstwom siedmioletniego chłopczyny nie żyły obiedwie siostry dla siebie. Lecz matka Henryka chciała się nieco dokładniej dowiedzieć o śmierci nieboszczki Katarzyny, i napisała do jej znajomych. W trzy dni odbiera list od tejżesamej siostry żyjącej, i dowiaduje się tak o wszystkiem. Henryk tymczasem nie myśli wcale o poprawie. Wypędzony kolejno ze wszystkich szkół publicznych i prywatnych, wstąpił za rozkazem rodziców do rzemiosła. Wnet jednakże opuścił swojego pierwszego majstra; potem zaraz drugiego i trzeciego: tak że w ośmnastu miesiącach nadużył cierpliwości dwunastu różnych majstrów. Nagła śmierć ojca nie wywiera żadnego wpływu na dziecięcym awanturniku. Owszem, korzysta on z niej po swojemu, oszukując matkę co chwila.

Doszedłszy wśród podobnych sprawek lat jedynastu, przyrzeka nareście zniecierpliwionej matce poprawę, i prosi ją usilnie o umieszczenie go u ślusarza. Ucieszona matka nie szczędzi żadnych zabiegów, i po długich zachodach wyszukuje majstra, który się jeszcze odważył przyjąć tak osławionego chłopca na naukę. Lecz w siódmym już tygodniu znika Henryk bez śladu. Wszelkie poszukiwania matki są bezowocne. Po niejakim dopiero czasie dowiaduje się nieboga od znajomych, powracających z festynu ludowego z Batignolles, że Henryk przybrany w niebieskie trykoty i kurtkę czerwoną, włóczy się z bandą skoczków i kuglarzy po Batignolles. Matka bieży tam cożywo, szuka, pyta po wszystkich kątach, a w końcu znajduje kochanego synalka na scenie wędrownego teatru skoczków i kuglarzy, z cymbałkami w ręku. Nie posiadając się od gniewu, grozi mu pięścią, i chce wejść za nim na scenę, aby go zaraz odebrać z rąk włóczęgów. Lecz Henryś nie czekał tak długo. Znikł w tłumie, nie zważając bynajmniej na swoje pstre przebranie. Dziś poznaje go nieszczęśliwa matka na ławce sądu poprawczego. Został uwieziony jako włóczęga bez karty legitymacyjnej. Biedna matka opowiada sędziom całą odyssyę swojego jedynastoletniego, i wyrzeka się go zupełnie, ponieważ nie może najmniejszej spodziewać się po nim poprawy. Dopiero na usilne przedstawienia sędziego, aby nie puszczała chłopca samopas w świat, postanawia wziąć go do domu, lubo jak powiada, nie wie zgoła, co ma z nim począć.

Lornetki. Powszechnie prawie panujący u nas zwyczaj używania lornetek nie tylko na teatrze, ale i po towarzystwach, mógłby dać cudzoziemcom wyobrażenie, że klimat kraju naszego ma szkodliwy wpływ na oczy. Jak błędne byłoby to mniemanie, każdy przekona się pomnąc, iż przed kilkunastą laty ten zbawienny wynalazek był tylko używanym przez stare dewotki, albo też ludzi zajętych odczytywaniem zbutwiałych papierów. Oświadczając wtenczas kochanek uczucia silnej miłości, nie czytał w oczach kochanki odpowiedzi przez szkło oko jego zbrojące; lecz taka jest mody potęga, że gdyby znany w modnym świecie młodzieniec przyczepił sobie do guzika trąbkę pocztarską, wszyscyby eleganci nasi podobnież się uzbroili, i okropnyby hałas robiono przy prostem oświadczeniu dzień dobry. Zwyczaj noszenia lornetek nie tylko że jest śmieszny ale szkodliwy. Pewną jest rzeczą, że przez używanie pomocy wprzód niż onej potrzeba, wzrok ludzki skraca się powoli. Lecz starożytność mogła się obejść bez tego, co nam się koniecznie potrzebnem wydaje. Szkła powiększające wynalezione były dopiero w początku 14 wieku przez Salvino Degli Armati Florentczyka. Użyto je potem do mikroskopu i helioskopu, przez który człowiek jakby orzeł może na słońce patrzeć bezkarnie. Wynalazek ten jest jednym z największych tryumfów dowcipu ludzkiego, jużto przez zalety istoty jego, już przez nowe odkrycia do których jedyną był pomocą. Pięknie go nam wystawia poeta:

Nad przyrodzenie wyższa sztuki władza
Skraca rozległość, która światy dzieli;
To żary słońca do oka sprowadza,
To pył olbrzymią obdarza postawą;
Słabe doskonaląc zmysły
Zda się jakąś czarodziejską sprawą;
Postacie rzeczy już od nas zawisły.

Nie można się doczytać w żadnym z starożytnych autorów, aby przed 14 wiekiem używano jakich środków przydłużania wzroku. Jesteśmy w tej mierze szczęśliwsi od przodków naszych, którzy podług świadectwa Seneki, mieli tylko naczynia wodą nalane dla powiększenia drobnych przedmiotów. Korzystajmy z dobrodziejstw, nowym wynalazkiem zrządzonych, nie nadużywajmy ich, nie wstydźmy się nosić lornetki gdy nam jej niezbędnie potrzeba, lecz nie nośmy jej dla jakiejś tylko mody niedorzecznej. Niech płochy młodzik nie waży się rumienić niewinną piękność zwróceniem na nią natrętnej lornetki, niech nie używa jej dla uniknięcia zapytań wierzyciela, udając minę zajętego i nie będącego w stanie odpowiedzieć. Niech nakoniec lornetka nie będzie strojem, lecz przedmiotem przykazanym przez niezbędną potrzebę.

Mistyfikacya żartobliwa czyli jak niegdyś mówiono „ciągnięcie kota.“ Ustęp z starodawnych pamiętników: „Pan Kasper Zebrzydowski i pan Krzysztof Krupski, którzy na dworze króla Zygmunta Augusta znacznie stojąc, to to, to owo nieszkodliwego, (jako są obadwa nie prostacy, a pan Zebrzydowski i uczony ktemu) wyrządzają towarzystwu, jednego czasu w Wilnie, gdy był owies nie pomału drogi, a na koniec ani go dostać możono, ubrali dwóch pachołków nieznajomych, i wyuczywszy ich wszystkiego, posyłali imieniem pana Wierszyła kasztelana wileńskiego od jednego do drugiego dworzanina, darując im ceduły, temu na 50, temu na 30, temu na 10, wedle każdego kondycyej, beczek owsa. A każdy miał słać poń do dworu pańskiego tuż nad Wilnem, który Rajem zowią. Co gdy pan Zebrzydowski z panem Krupskim sprawił, a każdy z dworzan onej cedule, jako w skąpy rok, był bardzo rad, zszedłszy się na zamek, poczęli się pytać: Tobie wiele beczek? a tobie wiele? Już drugiemu pocznie być niemiło, że mniej niż towarzysz wziąć miał. Także kto woźników na ten czas nie miał, ten najął furmana, abo u którego z panów Rad na odwóz wyprosił koni, i posłał do Raju po owies. A tam już też byli dobrze przedtem zasłali, kto miał te wozy pociągnąć dalej. Przyjechał pierwszy do Raju, pyta gdzie owies rozdają. Odpowiedział mu pachołek zasłany przez pana Zebrzydowskiego z litewska, iż ta *wołość*, która go wiezie nie mogła dzisia dociągnąć, w Suderwi została, a tak jedźcie tam, wedle ceduły wam oddadzą. Także każdemu powiedział kto jedno do Raju przyjechał. Owa pierwszy ten pachołek, który do Suderwi (która od Raju jest w dobrej mili) po owies zajechał, pytawszy się na zamku, pod zamkiem i wszędy indziej, a nie mogąc się *o* owsie dowiedzieć, do domu woźnicy nawrócić i poganiać kazał, wóz pięknie przykrywszy, aby nie sam tylko ciągnął kota. Mało co ten od Suderwi odjechał, alić drudzy bieżą wyścigając się, i pytając a owies jest? On odpowiedział że jest. Jedno, prawi, na zamek prosto jedźcie, tam go wam odmierzą. Przyjadą i ci, obaczą błazeństwo, jadą takież na zad, a kogo potkają każdemu o owsie dobrą otuchę czynią. Owa się wszyscy obeszli, a próżne wory wieźli do domu. Nazajutrz jedni się gniewali i łajali: Bodaj mi to zabit czynił; a drudzy się śmiali, zwłaszcza gdy na zamek to przyszło, bo król J. M. o wszystkiem wiedzieć musiał, i miał nie małą biesiadę, dworując z tych, którzy się o ten żart gniewali.“

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*